

Andrzej DĄBROWSKI

Agnieszka
Matynia-Dąbrowska

do zwariowania
jeden krok



CZY
TEL
NIK

Agnieszka Matynia-Dąbrowska

Andrzej
DĄBROWSKI

do zwariowania
jeden krok

Czytelnik

Wstęp

Na kartach kolejnych kalendarzy Andrzej Dąbrowski przez lata zapisywał ważne dla siebie wydarzenia. Są dni, w których jest po prostu artystą: śpiewa, gra, słucha muzyki albo sam wymyśla piękną melodię i komponuje kolejny utwór. Albo całkowicie poświęca się fotografii. Są dni, w których palma pierwszeństwa należy do jego drugiej natury: kierowcy startującego w rajdach lub w wyścigach samochodowych... i zdobywającego kolejny – osiemdziesiąty szósty, siódmy, ósmy... – puchar. Albo też dogaduje się artysta z pasjonatem i powstają dowcipne, ale merytoryczne i profesjonalne artykuły o motoryzacji czy muzyce lub albumy z jego fotografiami. Można odnieść wrażenie, że w życiu Andrzeja Dąbrowskiego wszystko się przeplata, że nim samym miotają różne emocje, zainteresowania, które nie pozwalają mu zająć się tylko jedną z fascynujących go dziedzin.

Jaki więc jest Andrzej Dąbrowski – artysta: muzyk perkusista i piosenkarz, kierowca rajdowy oraz dziennikarz? Jak postrzega świat, w chwili gdy go fotografuje? W jaki sposób przebiegło jego dzieciństwo i kim byli rodzice kształtujący osobowość młodego pasjonata? Jakie były początki kariery i jak się potoczyła dalej? O czym jeszcze marzy?

Odpowiedzi znajdziemy w książce o jego dorastaniu, rodzinie, kolegach i przyjaciółkach, o jego pasjach, muzyce i początkach jazzu w Polsce, piosenkach, koncertach, podróżach i przygodach, samochodach, wreszcie o zaletach i wadach – a więc o tym, co składa się na pełną postać Andrzeja Dąbrowskiego, takiego, jakim jest naprawdę.

Sam artysta podsumowuje to następująco:

– Były w moim życiu różne zawirowania. Chwile dobre i złe, sukcesy i porażki, niezwykle przypadki, egzotyczne podróże... Tak naprawdę, gdybym swoimi przeżyciami, przygodami i tym, czego w życiu doświadczyłem lub nawet tylko widziałem, obdzielił kilkoro ludzi, to każdy z nich miałby co opowiadać. Miałem rzeczywiście niezwykle ciekawe życie.

Zanurzmy się w nie na kartach tej książki.

Agnieszka Matynia-Dąbrowska



Trzy pokolenia rodziny Dąbrowskich

I

Ucieczka z Wilna Przystanek Szczawnica Dziadkowie Dąbrowscy Kraków – nasz nowy dom

Ucieczka z Wilna

Był 1944 rok, koniec października. Mieszkaliśmy wtedy w Kolonii Wileńskiej w dużym drewnianym parterowym domu, otoczonym przez rozległy stary sad. Mama opowiadała, że obudziła się w nocy (około godziny trzeciej nad ranem) i przez okno zobaczyła, że jakiś lekko pochylony mężczyzna przemyka się od drzewa do drzewa, kierując się wyraźnie w naszą stronę. Poznała go dopiero, gdy dobiegł do okna sypialni i zastukał w szybę. To był sąsiad Vitautas. Pokazała mu ręką, żeby podszedł do drzwi. Obudziła mojego tatę.

– Musiało stać się coś złego, bo przyszedł nasz sąsiad – powiedziała. – Idę otworzyć drzwi.

Litwin poprosił, żeby mama nie zapalała światła. Rodzice byli przestraszeni. Nie znali zbyt dobrze Vitautasa. Co prawda był pierwszym Litwinem, którego spotkali w Kolonii Wileńskiej, gdy kupili tam dom, ale nie utrzymywali z nim kontaktów.

– Co się stało? – zapytali przybysza.

– Przyszedłem, żeby was ostrzec. Jesteście na liście do wywózki na Syberię. Widziałem tę listę na własne oczy i widziałem na niej wasze nazwiska: Halina, Tadeusz i Andrzej Dąbrowscy!

To był cios. Moi rodzice od dawna żyli w strachu, że zostaną wywiezieni na Syberię. Mieli jednak nadzieję, że ich to ominie. Ludzie opowiadali przerażające historie o tym, co spotyka Polaków zabieranych z Wilna do transportu. Mówiono, że wielu nie dociera do celu, że ludzie są wysadzani z pociągu i pędzeni dalej jak bydło; niektórzy giną bez wieści albo umierają na Syberii z głodu i wyczerpania.

- Kiedy żołnierze przyjdą po nas? Ile mamy czasu? – pytali sąsiada.
- W każdej chwili możecie być wywiezieni. Ruscy zwykle zabierają ludzi w nocy. Musicie szybko uciekać.
- Czy na liście są także moi rodzice? – zapytał tato.
- Nie, nie widziałem ich nazwisk. – Vitautas z niepokojem rozglądał się po domu. – Czy jest tu ktoś obcy? – zapytał. – Nikt nie może wiedzieć, że u was byłem.
- Nikt się nie dowie. Jest tylko nasz pięcioletni synek i jego niania. Oboje mają mocny sen.

Rodzice dziękowali Vitautasowi, że ich ostrzegł, że dla nich narażał własne życie. Za pomoc Polakom groziło bowiem Litwinom więzienie albo zesłanie na Syberię. Byli przerażeni, ale mieli nadzieję, że tej nocy Rosjanie nie przyjdą po nas. Niedługo miał być świt.

Zaraz po wyjściu sąsiada pobiegli do moich dziadków, którzy także mieszkali w Kolonii Wileńskiej, niedaleko od naszego domu. Musieli się wspólnie naradzić, co robić, gdzie uciekać.

Nie miałem nawet półtora roku, gdy 16 września 1939 roku na Wilno spadły pierwsze niemieckie bomby. Rodzice opowiadali, że już następnego dnia w mieście pojawiło się sowieckie wojsko, a miesiąc później litewskie oddziały zajęły Wilno. Jeśli ktoś nie znał języka litewskiego, a większość Polaków nie znała, to taka osoba była zaliczana do obcokrajowców. Litwini wprowadzili zakaz prywatnego handlu. Polaków wyrzucano z pracy, a na ich miejsce przyjmowano Litwinów. Ich rządy trwały niecały rok.

W czerwcu 1940 roku, gdy miasto znów zajęły oddziały sowieckie, od razu zaczęto wywozić Polaków na Syberię. Pojmano i wywieziono wówczas ponad trzydzieści pięć tysięcy osób, głównie inteligencję. Rok później do Wilna wkroczyli Niemcy. Zaczął się horror. Niemcy masowo mordowali Żydów, rozstrzeliwali także Polaków. Na ulicach urządzali łapanki. Do więzień na Łukiskach i przy ulicy Ofiarnej trafiło tysiące Polaków. Wśród nich był także Tadeusz Dąbrowski. W ręce Niemców dostał się przypadkowo, gdy szedł ulicą Mickiewicza do domu. Niósł torbę ze sporym kawałkiem mięsa zawiniętym w gazetę. Kupił go od gospodarza spod wileńskiej wsi. Zaopatrzenie w Wilnie było słabe, więc chętnie korzystał z takich okazji. W pewnym momencie niemiecki patrol zatrzymał się przy nim i zainteresował się zawartością jego torby. Nie pomogło tłumaczenie, że kupił okazjnie ten kawałek, że idzie do domu, że mieszka na tej ulicy – nie pomogło nawet to, że mówił dobrze po niemiecku. Patrol aresztował go i odstawił na posterunek, a stamtąd zawieziono go do więzienia. Zarzucano mu, że trudni się przemytem.

Mama bała się, że może zostać wywieziony do Trzeciej Rzeszy. Początkowo dowiedziała się, że w Wilnie mieszka Niemiec, który pomaga Polakom i Żydom. Był to oficer o nazwisku Schönbrunner. Nie wiem, kogo mama przekupiła, ale udało jej się do niego dotrzeć. Poprosiła go o pomoc – i udało się. Herr Schönbrunner spowodował, że ojca wypuszczono z więzienia, chociaż przesiedział w nim jednak parę miesięcy. Po wojnie tato nawiązał z tym Niemcem kontakt. Pisali do siebie listy, a w końcu tato zaprosił go do Polski. I rzeczywiście pan Schönbrunner przyjechał ze swoją żoną do Krakowa, do moich rodziców. Odwiedził też mnie – w Warszawie.

Pod koniec 1941 roku rodzice Andrzeja przenieśli się do Kolonii Wileńskiej, miejscowości położonej niedaleko Wilna. Kupili tam całe gospodarstwo: duży drewniany parterowy dom, wielką stodołę i jeszcze jakieś inne zabudowania. Latem 1944 roku do Wilna ponownie zbliżała się armia sowiecka. Po walkach w pierwszej połowie lipca, w których przeciwko Niemcom wspólnie walczyły oddziały Armii Krajowej (operacja „Ostra Brama”) i Armii Czerwonej, Niemcy zostali wyparci z miasta. Opanowali je Sowieci i zaczęto się znowu masowe wywożenie Polaków na Syberię.

Rozmowa dziadków z moimi rodzicami była krótka.

– Wy jedziecie natychmiast, a my zostajemy – zdecydował dziadek Dąbrowski. – Za trzy miesiące ruszymy za wami. Wszyscy pojedziemy do Szczawnicy.

– Dlaczego do Szczawnicy? – dopytywał tato.

– Dostaliśmy list od Jurka. Twój brat napisał, że z żoną i synem uciekli z Warszawy i jadą do Szczawnicy. To jest spokojne miasteczko na południu Polski. Tam podobno nie ma już Niemców.

Dla moich rodziców rozpoczął się wyścig z czasem. O świcie tato pojechał na stację kolejową w Wilnie, mając nadzieję, że znajomi kolejarze będą pomocni w zorganizowaniu wagonu. Okazało się, że był tylko jeden do wynajęcia – i to taki, którym wcześniej przewożono bydło. Lepszy mógł się pojawić dopiero za parę dni. Ale my musieliśmy uciekać natychmiast, więc tato wynajął ten, który był. Kupił też duże drewniane skrzynie, zatrudnił kilku mężczyzn – i zaczęło się pakowanie naszych rzeczy z domu. Załadowano w nie zastawę stołową, pościel, obrazy, rodzinne albumy, odzież, a nawet przetwory na zimę.

Mama także pojechała do Wilna. Musiała zlikwidować konto w banku i zabrać z niego pieniądze. Przed bankiem stał już tłum ludzi, bo rozeszła się plotka, że wileński bank będzie zamknięty. Wszyscy chcieli ratować swoje oszczędności. Po całym dniu stania w kolejce mama wreszcie dotarła do kasy – na parę minut przed zamknięciem banku.

Tato jeszcze przed powrotem mamy do domu przewiózł na stację kolejową załadowane skrzynie, potem zakopał w ogrodzie swoją broń. Bał się zabrać colta, ale miał nadzieję, że kiedyś po niego wróci.

Przed wyjazdem z domu rodzice rozdzielili pomiędzy siebie biżuterię mamy. Parę złotych bransoletek założyli także na moje nogi. Bali się, że w podróży ktoś może odebrać im cenne rzeczy. Mieli nadzieję, że przynajmniej na nogach sześciolatniego chłopca nikt nie będzie szukał bransoletek.

Pożegnaliśmy się z moimi dziadkami i wyruszyliśmy na stację. Było już ciemno. Pociąg wyjechał z Wilna zaraz po północy. Udawaliśmy się w nieznaną, nie wiedząc, co przyniesie los.

Ucieczka była dla moich rodziców rozpaczliwym krokiem. Zostawili wielopokojowe mieszkanie w Wilnie przy ulicy Mickiewicza, a w Kolonii Wileńskiej duży dom z zabudowaniami gospodarczymi i wielkim sadem. Ja także rozpaczałem, bo musiałem rozstać się z ukochanym psem Reksiem, który został u naszych sąsiadów.

W tę samą noc, gdy my pociągiem opuszczaliśmy Wilno, rosyjscy żołnierze otoczyli nasz dom w Kolonii Wileńskiej. Mieli nakaz zabrania nas do transportu na Syberię. Ale o tym, że stało się to właśnie tej nocy, dowiedzieliśmy się dopiero od dziadków, gdy już przybyli do nas do Szczawnicy.

Mieliśmy po prostu wielkie szczęście! Wystarczyło opóźnić wyjazd z Wilna o jedną dobę i odbywalibyśmy przymusową podróż na Syberię, być może ginąc gdzieś po drodze. Jestem ciągle pełen podziwu dla moich rodziców, że potrafili w ciągu jednego dnia zapakować cały swój ruchomy majątek w Wilnie i zorganizować ucieczkę. Mama mówiła, że strach dodawał im sił.

Podróż z Wilna do Szczawnicy była koszmarem. Cały pociąg, którym jechaliśmy z Wilna, był niemiłosiernie zatłoczony. Nie tylko my uciekaliśmy. W wagonach byli ludzie, toboły, walizy i różny sprzęt. Nasz wagon, a czasami i kilka innych, przetaczano na stacjach na boczny tor. Bywało, że staliśmy tam dwa lub trzy dni, zanim dołączano je do pociągu. Często zatrzymywaliśmy się w polu – nawet na całą dobę. W wagonie strasznie śmierdziało.

Pociąg jechał przez tereny dzisiejszej Białorusi i Ukrainy. Na peronach zawsze stało wojsko z karabinami. Widziałem także żołnierzy, którzy chodzili wzdłuż nasypów kolejowych. Wiele razy słyszałem strzały w lesie. Trwała jeszcze wojna, ale ja, jako dziecko, nie zdawałem sobie sprawy z niebezpieczeństwa. Nudziłem się, chciałem się bawić, po prostu wysiadać i gdzieś pobiegać, a rodzice nie pozwalali mi wyjść z wagonu. Jedyłą rozrywką było wyglądanie przez szparę między deskami. Ciekawiło mnie, co się dzieje na zewnątrz. Na peronach zawsze pilnował nas jakiś żołnierz z karabinem. Rodziców chyba w ogóle nie opuszczał strach. Na każdej stacji kolejowej kazali mi siedzieć cichutko. Dopiero gdy na peronie cichły wszelkie krzyki, odgłosy bieganina, tato wychodził z wagonu, podobnie zresztą jak inni

ojcowie. Sądzę, że właśnie wtedy organizował dla nas wodę i żywność, czyli po prostu przekupywał żołnierzy i kolejarzy, żeby przynosili, co trzeba. Nie zabraliśmy aż tak dużo zapasów, by wystarczyło ich na całą podróż.

Tato zawsze umiał sobie radzić w trudnych sytuacjach. Podobnie zresztą jak mama, która jak mogła najlepiej, stwarzała warunki do jako takiej egzystencji. Rozkładając pościel na drewnianych skrzyniach, zapewniła nam pościel i miejsce do spania. Rozpięta szmata w kącie wagonu, za którą stały wiadra, wyznaczała część zarezerwowaną dla toalety. A dzięki zabranej blaszanej wanience mieliśmy się gdzie myć.

Gdy rozpoczęliśmy naszą ucieczkę, była jesień. Mieliśmy płaszcze i koce, ale i tak dokuczalo nam zimno. Jechaliśmy tym wagonem bardzo długo, parę tygodni. A gdy dotarliśmy wreszcie do Szczawnicy, wszędzie leżał śnieg. Było bardzo zimno. Wbrew oczekiwaniom dziadków i rodziców w Szczawnicy byli jeszcze Niemcy.

Przystanek Szczawnica

Nie mieliśmy pojęcia, gdzie szukać brata mojego taty, czyli Jerzego Dąbrowskiego. Dziadkowie mówili, że w Szczawnicy będzie na nas czekał z żoną i synem. Niestety, nikt nic o nich nie wiedział. Musieliśmy jednak tam zostać, żeby poczekać na przyjazd dziadków. Rodzicom udało się wynająć dla nas dom, właściwie zwykłą chałupę, ale dużą, piętrową. Niestety, stała w odległości zaledwie około dwustu pięćdziesięciu metrów od niemieckiego posterunku.

W Szczawnicy był duży ośrodek niemieckiego gestapo – Tajnej Policji Państwowej. Ale działał również silny partyzancki ruch oporu. Nocami w pobliżu niemieckiego posterunku toczyły się walki. Ataki organizowały oddziały Armii Krajowej, które miały odwracać uwagę Niemców od partyzanckich kurierów. Przez Szczawnicę prowadził bowiem szlak przerzutowy z Polski na Węgry.

Każdej nocy słyszeliśmy strzały, serie z karabinów maszynowych. Zawsze, gdy pociski uderzały w nasz dom, kładliśmy się na podłodze. Ale gdy zaczynała się jakaś kanonada, to tato kazał mnie i mojej mamie wchodzić za duży kaflowy piec. Było tam miejsce do leżenia, no i przede wszystkim tam byliśmy bezpieczni.

Niewielka odległość dzieląca naszą chałupę od niemieckiego posterunku miała jeszcze jeden minus. W czasie strzelaniny partyzanci zakradali się do nas i zabierali nam żywność, a nawet wyprowadzili konia, którego sąsiad trzymał w naszej stajni.

Niemniej wszyscy szczęśliwie dotrwaliśmy do końca wojny.

Szczawnicę wyzwolono dopiero 18 stycznia 1945 roku. Trzeba było znaleźć się w nowej sytuacji i zacząć organizować w niej życie. Zaraz po odejściu Niemców ojciec Andrzeja założył linię autobusową Szczawnica – Kraków. Razem ze współnikami znaleźli stary autobus, wyremontowali go i na zmianę przewozili ludzi, kursując dwa lub trzy razy w tygodniu. Pewnego dnia na trasie z Krościenka nad Dunajcem do Nowego Targu, na przełęczy Snózka autobus się zepsuł – zgasł silnik. Kierowcą był wówczas Tadeusz. Wśród dorosłych pasażerów znalazło się także kilkoro dzieci. Była zima, śnieg, temperatura poniżej piętnastu stopni Celsjusza. Ojciec Andrzeja nie chciał w tej sytuacji zostawić ludzi na drodze. Nie widział innego wyjścia, jak po prostu uruchomić autobus. Usuwanie awarii zajęło mu parę godzin, a przez ten czas leżał w śniegu pod wozem. Autobus naprawił, zawiózł pasażerów do Krakowa, a stamtąd kolejnych do Szczawnicy.

Tato wrócił do domu z wysoką temperaturą. Mama wezwała znanego w Szczawnicy lekarza – doktora Kołączkowskiego. Stwierdził on u ojca silne zapalenie stawów i uprzedził nas, że to ciężka choroba, często z powikłaniami. Niestety, miał rację. Zaczęły się u taty poważne problemy z sercem. Bardzo się wtedy o niego bałem. Do tej pory widziałem w nim bardzo silnego, wesołego mężczyznę, a tu nagle nie mógł się podnieść z łóżka, nawet ręki nie mógł unieść, bo zaraz mdlał. To był dla mnie szok.

Zapalenie stawów leczono wtedy jadłem pszczelim. Widziałem, jak przykładano ojcu pszczoły na ręce, na pierś, czasami na nogi. Miał mnóstwo uządleń. Nie wiem, jak to wytrzymawał. Lekarz zalecił, żeby też jadł dużo miodu. Pamiętam, że jadł go dosłownie litrami. Kuracja musiała być skuteczna, bo wiosną ojciec już wychodził do ogrodu.

Jego spacerzy wyglądały w ten sposób, że szedł wolniutko ścieżką, krok po kroku. Ja niosłem za nim krzesło i co chwilę podstawiałem mu, żeby sobie odpoczął. Obok szła mama i niosła krople na serce. Leczenie ojca trwało parę miesięcy, ale latem odzyskał zdrowie i potem już nie chorował.

Lubiłem doktora Kołączkowskiego. Najbardziej chyba za to, że miał białe bmw 328, które bardzo mi się podobało. Często marzyłem, że kiedyś doktor zabierze mnie na przejażdżkę. Podobały mi się także ciężarówki wojskowe, a w Szczawnicy jeździło ich sporo. Mama opowiadała, że biegałem za nimi i wdychałem czarny, kłębiący się dym z rury wydechowej. Ponoć była to dla mnie najlepsza zabawa. Sądzę, że tak się zaczęła moja mania samochodowa.

Wczesną wiosną przyjechali z Wilna dziadkowie Andrzeja – Jadwiga i Jan Junosza Dąbrowscy. Wprowadzili się do domu, w którym mieszkali już Halina i Tadeusz z Andrzejem. Przywieźli ze sobą wiadomość, że brat Tadeusza –



Rodzina Dąbrowskich w komplecie. Stoi dziadek Jan; siedzą i leżą (od lewej): mama Halina, tata Tadeusz i ja, Janusz, jego mama Janina, babcia Jadwiga i Jerzy, brat taty. Szczawnica, 1946 r.

Jerzy – zamiast w Szczawnicy zamieszkał ze swoją żoną i synem w pobliskiej Rabce. Dla rodziny Dąbrowskich największym problemem w zniszczonej wojną Szczawnicy było zaopatrzenie w żywność. Brakowało na rynku podstawowych produktów, a ponadto kończyły się im pieniądze przywiezione z Wilna.

Mimo to rodzice musieli sobie jakoś radzić, bo nie pamiętam, żeby w domu nie było jedzenia. Mama potrafiła zawsze ugotować coś smacznego.

Dziadkowie Dąbrowscy

W moich wspomnieniach i we wspomnieniach mojego stryjecznego brata Janusza babcia Jadwiga zapisała się jako ktoś, kogo się baliśmy. Wzbudzała nasz respekt nawet samym swoim wyglądem. Była klasycznym typem sztywnej damy, zapiętej pod samą szyję. Babcia Jadwiga, zawsze szczupła, wyprostowana, ściśnięta gorsetem, nosiła długie suknie z rzędami guzików z przodu albo na plecach. Była raczej poważną osobą. Nie pamiętam,



*Jadwiga z Kajetanowiczów i Jan Junosza Dąbrowscy,
moja babcia i mój dziadek, rodzice taty*



Leopold Leffler, autoportret

żebym się kiedykolwiek z nią ba-
wił. Zwykle siedziała przed szta-
lugami w domu albo w ogrodzie
i malowała różne obrazy.

Jadwiga Dąbrowska pochodziła ze
słynnej malarskiej rodziny Lefflerów.
Jej dziadkami było małżeństwo –
Władysław Leffler i Antonina z domu
Tokarska. Mieli sześciu synów: Lon-
gina, Nikodema, Leona i Edmunda,
Ferdynanda i Leopolda oraz trzy
córki: Marię, Melanię i Domicellę.
Nie wiadomo, jak potoczyły się losy
czterech synów, natomiast Ferdyn-
and i Leopold zostali malarzami.
Leopold, który od 1864 roku był człon-
kiem Wiedeńskiej Akademii Sztuk

Pięknych, a w latach 1876–1897 profesorem Krakowskiej Szkoły Sztuk Pięknych, malował obrazy historyczne. Sławę i uznanie przyniósł mu obraz przedstawiający śmierć Stefana Czarnieckiego (1860). Jego dziełem są także obrazy i rysunki o tematyce powstańczej, ponadto inne sceny rodzajowe, zrękowiny i portrety.

Jedna z córek Lefflerów – Domicella, wyszła za mąż za Jarosława Grottgera, brata jednego z najwybitniejszych przedstawicieli romantyzmu w malarstwie polskim – Artura Grottgera.

Najmłodsza z córek – Melania, poślubiła wdowca Jakuba Kajetanowicza. Z ich małżeństwa urodziło się czterech synów: Wilhelm, Otton, Zygmunt i Stanisław oraz trzy córki: Zofia, Maria i Jadwiga – babcia Andrzeja Dąbrowskiego.

Jadwiga była utalentowana malarką. W dzieciństwie uczyli ją rysunku i malarstwa wybitni artyści malarze. Nie poświęciła się całkowicie sztuce, ale lubiła malować portrety, pejzaże czy święte obrazy. Jeden z nich, który przedstawia św. Teresę od Dzieciątka Jezus, podarowała ojcom dominikanom z Żółtkwi, a ci umieścili go w bocznej kaplicy klasztoru.

Mnie najbardziej podobał się inny obraz babci. Namalowała na nim psa na łące. To był wyżeł. Niósł coś w pysku. Wyglądał na tym obrazie jak żywy, jakby przed chwilą wrócił z polowania. Bardzo mi się ten pies podobał. Pewnego dnia zrobiłem sobie małą gumową procę, znalazłem jakieś druciane haczyki i... zacząłem nimi strzelać do psa na obrazie. Niestety, podziurawiłem go. Dziś już nie pamiętam, co się stało z obrazem babci i jaką karę mi wymierzono...

Poza malowaniem pięknych obrazów babcia potrafiła także pięknie haftować, dziergała jakieś koronki z niezwykle wzorami i scenami. Moja mama była zachwycona tym, co tworzy babcia. Sama nigdy nie uczyła się robótek ręcznych, bo swoje dzieciństwo spędziła na deskach teatralnych. Poprosiła babcię, żeby ją nauczyła szyć, wyszywać i haftować. Widać, musiała mieć także talent plastyczny, bo potem sama robiła śliczne abażury, malowała piękne kwiaty na porcelanie, a nawet szyła ubrania i bieliznę pościelową.

Dziadków Dąbrowskich znałem od urodzenia. Mieszkali w Kolonii Wileńskiej, w pobliżu domu moich rodziców. Często się odwiedzaliśmy. Dziadek Dąbrowski budził respekt. Był wysokim i szczupłym mężczyzną, zawsze nienagannie ubranym. Sprawiał wrażenie wojskowego. Nie pamiętam, żeby kiedykolwiek się z nim bawił. Wiedziałem jednak, że i dziadek, i babcia kochają mnie. Pamiętam też, że dużo ze mną rozmawiali.

Z dokumentów rodzinnych wynika, że pradziadek Andrzeja Dąbrowskiego, Franciszek Dąbrowski herbu Junosza, ożenił się z Ludmiłą Nawratil. Z tego małżeństwa 24 kwietnia 1874 roku w Stanisławie Górnym w powiecie wado-

wickim w Galicji urodził się ich syn, Jan Junosza Dąbrowski, dziadek Andrzeja. Nie wiadomo dokładnie, czym zajmowali się Dąbrowscy w poprzednich pokoleniach. Z pewnością byli ludźmi majątynymi, prawdopodobnie zarządzali własnymi posiadłościami.

Gdy Jan Junosza Dąbrowski ukończył we Lwowie trzyletni kurs nauk w Krajowej Szkole Gospodarstwa Lasowego, ożenił się z Jadwigą Kajetanowicz. Dziadkowie Andrzeja mieli dwóch synów: Tadeusza (ojca Andrzeja) i Jerzego.

Cieszyłem się, że po ucieczce z Wilna mieszkaliśmy z dziadkami w jednym domu w Szczawnicy. Ale to moi rodzice sprawiali, że każdego dnia działo się u nas coś ciekawego i miłego. Zawsze było dużo radości i dużo śmiechu, chyba że ja coś narozrabiałem, a niestety, zdarzało mi się w dzieciństwie dość często wpadać w poważne tarapaty.

Nasz dom w Szczawnicy stał nad brzegiem rzeczki o nazwie Grajcarek. Rodzice codziennie mnie pouczali: nie wolno ci chodzić samemu nad rzekę. Pewnego dnia, zimą w 1945 roku, wszystkie te przestrogi i zakazy wyleciały mi z głowy. Bawiłem się przed domem na śniegu i powoli dotarłem do rzeczki. Woda była zamrznięta – tak mi się wydawało. Chciałem się poślizgać. Wszedłem więc na lód i nagle jego cieniutka warstewka załamała się pod mną. Co prawda w tym miejscu było płytko, więc nie groziło mi utonięcie, niemniej zamoczyłem się aż do pasa. Z trudem wyczołgałem się na brzeg. Nie wiedziałem, co robić. Nie miałem odwagi, żeby się pokazać rodzicom, bo bałem się ich zdenerwowania. Ponad godzinę chodziłem wkoło domu. Mróz był tak duży, że wszystko na mnie zamarzło. Było mi jednak tak strasznie zimno, że mimo strachu poszedłem do domu. Stałem w drzwiach – i w domu rozpętała się burza. Rodzice byli przerażeni. Mama kazała, żebym natychmiast położył się do łóżka. Nacierala mi czymś ręce i nogi. Pod pierzynę włożono butelki z gorącą wodą. Nie wiem, czy to szczęście czy dobre zdrowie, ale nie zachorowałem wówczas – nawet kataru nie miałem. Uniknąłem także kary.

W 1946 roku zmarła nagle babcia Andrzeja. Pochowano ją na cmentarzu w Szczawnicy. Rodzice Andrzeja zdecydowali wtedy, że przeniosą się ze Szczawnicy do Krakowa.

Kraków – nasz nowy dom

Dąbrowscy nie mieli w Krakowie własnego domu ani mieszkania. Spodziewali się, że będą trudności ze znalezieniem jakiegoś lokum. Minął zaledwie rok od zakończenia wojny i w mieście nie odbudowano jeszcze wielu kamie-

nic zniszczonych przez Niemców. Poza tym nadal przebywała tu dość liczna grupa warszawiaków, którzy po upadku Powstania Warszawskiego uciekli ze swojego miasta i jeszcze nie wrócili do zburzonej stolicy. W tej sytuacji zdobycie mieszkania w Krakowie granoczyło z cudem.

Tadeusz Dąbrowski zgłosił się do pracy w Dyrekcji Lasów Państwowych. Przemysł drzewny był branżą, w której specjalizował się w Wilnie. Ponadto znał dobrze język niemiecki, a Dyrekcja potrzebowała eksperta do kontroli drewna, które sprowadzała z zagranicy.

Nie wiem, czy przydział mieszkania załatwiła Dyrekcja Lasów Państwowych czy tato, ale dostaliśmy w Krakowie lokum w budynku przy ulicy św. Teresy 12 w Śródmieściu. Kamienicę nazywano ponemiecką, bo podobno w czasie wojny mieszkali w niej tylko Niemcy.

Zajęliśmy dwa niewielkie pokoje: w jednym była sypialnia rodziców, a w drugim gabinet ojca. W gabinecie stał także mały tapczan i to było moje miejsce do spania. Nie mieliśmy jadalni ani innych pomieszczeń. Niestety, musieliśmy dzielić się wspólną kuchnią, łazienką, toaletą i korytarzem z inną rodziną, państwem Bieniów. Plusem mieszkania przy ulicy św. Teresy była niewielka odległość – najwyżej pięć minut – od Dyrekcji Lasów, w której tato pracował.

Mama nie mogła przyzwycząić się do tego, że musi dzielić część mieszkania z inną rodziną. W naszym domu zawsze był porządek, wszystkie rzeczy miały swoje miejsce. Państwo Bieniowie mieli, niestety, inny sposób bycia, którego rodzice nie potrafili zaakceptować. Po trzech latach wspólnej – trudnej – egzystencji tato rozwiązał przynajmniej jeden problem. Zaproponował naszym sąsiadom, że urządzi dla nich osobną kuchnię, jeśli zgodzą się na przebicie ściany do spiżarni. Bieniowie przyjęli propozycję. To trochę złagodziło stresowe sytuacje w domu. Po paru latach rodzice zamienili to mieszkanie na inne, a zrobili to dopiero po moim przeprowadzeniu się do Warszawy. Zamieszkali w kamienicy przy Rynku Kleparskim. Ich nowe mieszkanie było wprawdzie samodzielne, ale miało także wspólny korytarz z paroma sąsiadami. Woleli jednak pogodzić się z takimi warunkami, niż zostać w poprzednim mieszkaniu przy ulicy św. Teresy. Zawsze się dziwiłem, że mają tak małe wymagania. W Wilnie i Szczawnicy mieliśmy przecież duże mieszkania.

Nigdy później rodzice nie chcieli się przenieść do Warszawy, mimo że mieliśmy dla nich dobre propozycje lokalowe.



Halina i Tadeusz na ulicy w Bydgoszczy w 1936 r.

II

Dziadkowie Motyczyńscy Halusia Motyczyńska Wilno moich rodziców Niemiecka okupacja Wilna

Dziadkowie Motyczyńscy

W każdej rodzinie przekazywane są z pokolenia na pokolenie różne opowieści o przodkach – babciach, dziadkach, ciotkach i wujkach, o bohaterach i tak zwanych czarnych owcach. W niektórych rodzinach przetrwały opowieści sięgające nawet kilku pokoleń wstecz. Wiele rodzin pieczołowicie pielęgnuje pamięć o swoim pochodzeniu. Tak samo było i w mojej rodzinie, ale ja nigdy nie przywiązywałem do tego zbyt dużej wagi. Mama często przeglądała stare albumy fotograficzne przywiezione z Wilna i rodzice opowiadali o różnych wydarzeniach z życia swoich rodzin.

Przyznam się, że słuchałem tego jednym uchem, piąte przez dziesiąte. Nie zależało mi na odnotowywaniu jakichś chwalebnych albo pikantnych szczegółów z życia rodziny. Zawsze miałem bardzo dużo innych zainteresowań. Jeśli chodzi o dziadków, to znacznie więcej wiem o rodzinie Dąbrowskich niż o Motyczyńskich. Nie poznałem dziadków ze strony mamy, ponieważ zmarli, zanim się urodziłem. Wiem o nich tyle, ile opowiedziała mi mama, a co uzupełniają rodzinne fotografie i liczne recenzje na temat gry aktorskiej mojego dziadka – Józefa Motyczyńskiego.

Józef Stanisław Motyczyński urodził się 29 stycznia 1891 roku w Krakowie. Już w wieku osiemnastu lat grywał w teatrze różne małe role. Na afiszach w Teatrze Miejskim w Krakowie pojawiał się jako Stanisław, bo właśnie drugiego imienia używał na początku swej kariery. Aktorstwa uczył się w prywatnej szkole dramatycznej, którą założył Michał Przybyłowicz, sławny wówczas artysta grający przez wiele lat na polskich scenach wszystkich trzech zaborów.



*Bronisława i Józef Motyczyński,
moja babcia i mój dziadek, rodzice mamy*

W Bibliotece Jagiellońskiej znajdują się fotografie z aktorskich kreacji Józefa Motyczyńskiego, z jego występów na różnych scenach teatralnych, w tym także w Wiedniu. W zbiorach rodzinnych zachowały się wycinki z ówczesnych recenzji. Po przedstawieniu *Mazepy* krytyk teatralny napisał: „Pan Józef Motyczyński wniósł w postać wojewody tyle tragizmu, siły namiętejj [...]. Rolę swoją, aż do szczegółów tak sprecyzował, iż śmiało go postawić możemy w rzędzie najlepszych sił aktorskich”. Określano go jako aktora dramatycznego „wybitnie doskonałego w oddawaniu typów o dosadnych i wyrazistych rysach charakterystyki”. Recenzenci zachwycali się, że jest artystą wspaniałym – „artystą dużej miary”.

Na portrecie z 1913 roku mój dziadek wygląda na poważnego, dość przystojnego mężczyznę. Siedzi na krześle w wystudiowanej pozie. Jest to prawdopodobnie fotografia do jakiegoś teatralnego plakatu.

Józef Motyczyński zmarł 21 maja 1922 roku w Krakowie w wieku zaledwie trzydziestu jeden lat. Chorował na gruźlicę, czyli – jak mówiono w tamtych czasach – na suchoty. Został pochowany w rodzinnym grobowcu na Cmentarzu Rakowickim w Krakowie.

Dziadek zmarł bardzo młodo. Może mógł żyć dłużej, ale nie chciał się leczyć. Nie zgodził się wyjechać nawet do sanatorium do Rabki. Mama przypuszczała, że jej ojciec wolał nie opuszczać domu, bo był bardzo zazdrosny o swą żonę. Nie miał żadnych ku temu powodów, ale kontrolował ją wszelkimi sposobami.

Moja mama zachowała w pamięci piękną cechę swojego ojca: był człowiekiem, który kochał przyrodę. Wspominała, jak na spacerach na Błoniach i po lesie zwracał jej uwagę na piękno dziko rosnących kwiatów, na właściwości ziół, znał nazwy wszystkich roślin. Także w mamie zaszczerpił miłość do kwiatów, lasu, przyrody.

Halusia Motyczyńska

Mama opowiadała mi, że miała pięć lat, gdy po raz pierwszy poszła ze swoim tatą do teatru. Zaprowadził ją za kulisy i do garderoby. Znała już wszystkich aktorów, którzy grali w sztukach razem z jej ojcem.

– Czułam się tam jak w domu – wspominała. – Aktorzy nosili mnie na rękach, byłam dla nich rodzajem maskotki. Nie wiem, kto wpadł na pomysł, żebym zagrała w wystawianej właśnie bajce.

Taniec i śpiewanie przed publicznością Halusia Motyczyńska traktowała jak świetną zabawę ze swoimi przyjaciółmi – aktorami. Była śliczną dziewczynką, zabawną i utalentowaną, toteż szybko podbiła serca publiczności. Grała potem w krakowskich teatrach niemal we wszystkich bajkach dla dzieci.



*Halusia Motyczyńska,
czyli moja roztańczona mama*

Pegaz

ilustrowany miesięcznik poświęcony życiu artystycznemu

Rok I

czerwiec - lipiec

1933 r.

TRZY WIELKIE KONKURSY ARTYSTYCZNE

•••• z nagrodami i oryginalna ankieta teatralna ••••



Fot. „Foto-Arte”

HALSZKA MOTYCZYŃSKA

TREŚĆ NUMERU:

1. Do Artysty — wiersz E. A. D.
2. Echa z wystawy malarzy polskich w Paryżu — Jack de Corhalis.
3. Nieparadoksalne paradoksy — Stefan Koper.
4. Konkurs muzyczny.
5. Teatr i rewja — Zeli.
6. „Najpierwsze wśród wielu...” — konkurs.
7. „Z ekranu na ekran”.
8. Uprawomocnione barbarzyństwo — Eska.
9. Muzycy a tantjemy — J. S.
10. „Walc” — powiastka konkursowa.
11. Z życia Związku Zawod. Muzyków R. P. — Józef Stein.
12. Ankieta teatralna.
13. Orkiestry wojskowe jednak grają — J. S.
14. Nowy Zarząd Zw. Zaw. Muzyków.
15. „Bądź piękną!” — Helena Brzezińska.
16. Biuletyn Centralnego Związku Artystów „Czar”.

Cena gr. 50

*Halszka Motyczyńska, młoda i obiecująca aktorka,
na pierwszej stronie miesięcznika „Pegaz” w 1933 r.*

Bronisława Motyczyńska, moja babcia, pracowała w sekretariacie krakowskiej redakcji „Nowości Ilustrowanych”. Był to tygodnik społeczno-kulturalny o literaturze i sztuce, który zamieszczał ponadto wiadomości z kraju i ze świata. Babcia była tam korektorką, recenzentką i jednocześnie sekre-

tarką. Mimo tytułu obowiązków zarabiała grosze, podobnie jak inni pracujący w redakcji. I ciągle bała się zwolnienia z pracy. Miała poważne kłopoty ze swoim zdrowiem. Urodziła się z wadą serca. Wtedy jeszcze nikomu się nawet nie śniło o takich operacjach na sercu, jakie obecnie przeprowadzają lekarze, albo o sztucznych zastawkach. Zdarzało się, że mdlała w pracy. Z wiekiem czuła się coraz gorzej, a mama dorastała w nieustannym strachu o zdrowie swojej rodzicielki.

Na portrecie Bronisława Motyczyńska jest piękną, elegancką i uśmiechniętą brunetką. Patrząc na jej fotografię, trudno uwierzyć, że była tak poważnie chora. Po śmierci Józefa Motyczyńskiego aktorzy z teatru chcieli pomóc żonie i córce kolegi. Sami mieli niskie gaże, starali się więc, by jego córka Halusia coraz częściej występowała w sztukach teatralnych. Była już ulubienicą publiczności, toteż zawsze znalazła się dla niej jakaś rola. W ten sposób zarabiała, ale były to niewielkie sumy.

Po śmierci swego ojca moja mama została tylko z babcią Bronisławą. Nie miały żadnych krewnych. To, co obie zarobiły, wystarczało im jedynie na opłacanie mieszkania i bardzo biedną egzystencję. Mama opowiadała, że brak pieniędzy był ich codzienną zmurą. Najtrudniej było im przetrwać miesiące zimowe. Nie miały za co kupić węgla, żeby ogrzać wynajęte mieszkanie. W Święta Bożego Narodzenia owijały w celofan kawałeczki węgla i wieszały go na choince, żeby los przyniósł go więcej. Czasami brakowało pieniędzy na jedzenie. Po kilku latach mama, już jako nastolatka, zaczęła dostawać trochę wyższą gażę. Cały czas występowała na scenie, a jednocześnie chodziła do szkoły i uczyła się aktorstwa.

W 1929 roku w Starym Teatrze w Krakowie bilety na występy trzynastoletniej Halusi rozchodziły się błyskawicznie. Była już znaną i cenioną tancerką – i nieustannie ulubienicą publiczności. Tańczyła do utworów Chopina, Straussa, Brzezińskiego, Paderewskiego. Na plakatach przy jej nazwisku podawano, że jest utalentowaną młodocianą tancerką, gwiazdą sezonu. Przy fortepianie towarzyszył jej znany muzyk Adam Rawicz-Kleczewski. Rok później czternastoletnia Halusia Motyczyńska grała już w Teatrze im. Juliusza Słowackiego w Krakowie w komedii *Kiepski szeląg* Brunona Winawera. Wcieliła się w postać Steli. Wiele gazet zamieściło jej zdjęcia z występów i świetne recenzje. W 1933 roku jej fotografia znalazła się na okładce piątego numeru „Pegaza”.

Sytuacja materialna mojej mamy i babci Bronisławy poprawiła się dopiero po otrzymaniu przez mamę dyplomu Szkoły Dramatycznej. Mama stała się znaną w Polsce aktorką. Dostawała dobrze płatne angaże, a babcia nie



*Halina Motyczyńska jako aktorka Teatru Miejskiego
w Wilnie w latach 30. XX w.*

musiała już pracować w „Nowościach Ilustrowanych”. Często powierzano mamie role, które wymagały umiejętności tańczenia i posiadania pięknego głosu. Mam w domowym archiwum fotografie ze scen teatralnych i stare, już wyblakłe, pełne zachwyty recenzje z jej występów.

Dla Haliny zaczął się okres wielkich sukcesów aktorskich. Występowała na scenach Teatru Starego w Krakowie, Teatru Miejskiego w Bydgoszczy i Teatru Kameralnego w Częstochowie. Pracowała z wybitnymi artystami: Janem Kur-nakowiczem, Aleksandrem Zelwerowiczem, Ludwikiem Sempolińskim i z wieloma innymi aktorami scen polskich. W gazecie pisano o niej: „Do Teatru Bydgoskiego zaangażowano w tym sezonie nową uzdolnioną artystkę. Halina Motyczyńska odznacza się nieprzeciętną urodą i dała się już poznać jako wybitny talent aktorski”. W recenzjach chwalono jej aktorstwo, urodę, wdzięk i piękny uśmiech. Została uznana za jedną z najpiękniejszych kobiet w Polsce. Aktorstwo, podobnie jak każda dziedzina sztuki, jest zawodem, z którym wiąże się zwykle jakaś niewiadoma. Przed wojną aktorzy często nie mieli pewności, co może im przynieść kolejny sezon. Bywało, że musieli zmieniać teatry i miejsca zamieszkania. Nie zarabiali dużo, a jeszcze do wielu sztuk musieli sami starać się o kostium dla siebie.

W sezonie 1934/1935 Halina przyjęła angaż do Teatru Miejskiego w Wilnie. Grała tam rolę Bety w *Szesnastolatce*, Marysię w *Ptaku* Jerzego Szaniawskiego i inne role w sztukach wystawianych w Teatrze na Pohulance, w których występowali także Józef Węgrzyn, Czesław Wołłejko, Marcin Bay-Rydzewski, Nina Andrycz.

Wilno moich rodziców

Przed drugą wojną światową wielu Polaków z różnych stron kraju osiedlało się w Wilnie, ponieważ w całym regionie wileńskim rozwijał się przemysł i handel, a w mieście działały wyższe uczelnie, rozgłośnia radiowa i teatry, wydawano gazety. Wilno dawało więc przyjezdnym duże możliwości zrobienia kariery, majątku i stabilizacji życia.

Mój tato, Tadeusz Dąbrowski, który na początku lat trzydziestych pracował na południu Polski w przemyśle drzewnym i handlował kolejowymi podkładami, uznał, że w Wilnie, które było centralnym ośrodkiem handlu drewnem, będzie miał większe szanse w swoim zawodzie. Miał rację, bo zaraz po przyjeździe dostał tu dobrze płatną pracę w przedsiębiorstwie handlującym drewnem. Do Wilna przyjechali także jego rodzice, czyli moi dziadkowie – Jan i Jadwiga. Tato miał wiele zainteresowań. Fascynowały go samoloty, pisał wiersze, a przede wszystkim potrafił wspaniale opowiadać



Recenzje prasowe o mojej mamie z lat 30. XX w.

różne historyjki. Znajomi dziennikarze z wileńskiej rozgłośni zaproponowali mu występy w radiu.

Mieściło się ono wówczas przy ulicy Witolda 17. Po kilku występach w wileńskiej kukułce, jak powszechnie nazywano rozgłośnię od jej sygnału, tato prowadził już własną audycję. Opowiadał w niej o przygodach na polowaniach, o zwyczajach leśnych zwierząt, o różnych gatunkach drzew i o innych leśnych bogactwach. Przybliżał słuchaczom piękno i wspaniałość lasów rosnących w okolicach Wilna. Jego barwne opowieści cieszyły się dużym powodzeniem.

Przed wojną tato latał samolotami jako pilot, ale nie zrobił licencji zawodowej. Miał duże grono przyjaciół wśród pilotów. Stanisław Pawluć, pilot z 5. pułku lotnictwa, był moim ojcem chrzestnym. Pewnego dnia inny jego przyjaciel poprosił ojca o przysługę: o oddanie listu znanej w Wilnie aktorce Halinie Motyczyńskiej. W liście usprawiedliwiał się, że nie może przyjść na spotkanie z nią, bo musi nagle wyjechać z miasta. Tato nigdy nie widział tej aktorki, bo chociaż interesował się teatrem, to w Wilnie nie był jeszcze na żadnej sztuce. W teatrze zwrócił się do portiera z prośbą, żeby ten powiedział pannie Halinie Motyczyńskiej, że ma dla niej wiadomość i czeka na nią w holu. Portier odmówił.

Nie trafiło do niego tłumaczenie, że kolega taty zobowiązał go, aby list oddał osobiście i przekazał aktorce ustną wiadomość. Dopiero wręczenie drobnej sumki skłoniło portiera do udania się za kulisy i zawiadomienia aktorki, że ktoś do niej przyszedł. Tato mówił, że zobaczył na schodach śliczną, szczupłą i niewysoką brunetkę. Zeszła do holu, wysłuchiwała jego wyjaśnień, zabrała list, ukloniła się, powiedziała: „dziękuję panu” i wyprostowana jak struna odeszła.

Dla Tadeusza była to miłość od pierwszego wejrzenia. Aktorka nie chciała się jednak z nim spotykać. Halina była osobą podziwianą i adorowaną przez wielu mężczyzn. Do nich zaliczał się między innymi Józef Cyrankiewicz, późniejszy premier Polski i mąż Niny Andrycz.

Tato – wysoki, przystojny mężczyzna, znany jako pożeracz kobiecych serc – nie mógł pogodzić się z tą porażką. Zdobycie zainteresowania poznanej właśnie aktorki mogło być jedynym lekarstwem na jego urażoną męską dumę. Ale dużo ważniejsze było to, że po raz pierwszy naprawdę się zakochał. Wysyłał więc aktorce kwiaty do teatru i na jej prywatny adres (dowiedział się, które kwiaty lubi, i sam wybierał bukiety). Adorował ją tak wytrwale, że w końcu usunął w cień wszystkich konkurentów.

Rok później mama podpisała nowy angaż. Wyjechała z Wilna na cały sezon do Teatru Miejskiego w Bydgoszczy. Tam występowała w trzech sztukach: grała Betę w *Szesnastolatce*, Anielę w *Ślubach panińskich* oraz Julię w *Małym Lordzie*. Tato jeździł na spotkania z mamą do Bydgoszczy raz albo dwa razy w miesiącu. Listy krążyły między nimi niemal codziennie.

Po zakończeniu sezonu teatralnego Halina wróciła do Wilna i tutaj 10 czerwca 1936 roku wyszła za Tadeusza. W akcie małżeńskim zapisano: „10 czerwca 1936 roku w Wilnie Tadeusz Marian Dąbrowski, urodz. 23 stycznia 1909 roku w Trzebuni, syn Jana Adama Dąbrowskiego i Jadwigi Kajetanowicz, poślubił Hali-



Tadeusz Dąbrowski



Ślub rodziców

nę Motyczyńską, urodz. 7 sierpnia 1916 roku w Krakowie, córkę Józefa Motyczyńskiego i Bronisławy Bader-Wawelskiej”.

To nie były czasy, w których szlachta, bogata czy biedna, łatwo godziła się na taki mariaż. Jan i Jadwiga Junosza Dąbrowscy początkowo odnosili się także z dystansem do małżeństwa syna z aktorką, mimo że ich synowa cieszyła się nienaganną reputacją, zarówno w swoim środowisku, jak i wśród wileńskiej elity. Mieszkała zawsze ze swoją matką. Nie uczestniczyła w żadnych towarzyskich przyjęciach i nikt nie mógł o niej złego słowa powiedzieć.

Dopiero osobisty urok mamy działał cuda. Moi dziadkowie nie tylko zaakceptowali małżeństwo swojego syna, ale wnet po prostu zakochali się w swojej synowej.

Po ślubie Halina i Tadeusz, a także pani Bronisława zamieszkali wspólnie w Wilnie przy ulicy Mickiewicza 19/20, głównej arterii Śródmieścia. Dziś jest to ulica Gedymina. Zajmowali piękny i wielopokojowy apartament, który po wojnie zajęło Ministerstwo Rolnictwa Litwy.

W Wigilię Bożego Narodzenia 1937 roku mama Haliny nagle zmarła. Tym samym nie doczekała narodzin wnuka. Halina była wówczas w piątym miesiącu ciąży. Bronisława Motyczyńska została pochowana na wileńskim Cmentarzu na Rossie.

Śmierć babci Bronisławy była dla mojej mamy wielkim wstrząsem. Mieszkały zawsze razem, nigdy się nie rozstawały, razem podróżowały do miast, w których mama występowała na scenie. Razem cierpiały biedę, a teraz, kiedy już miały dom, pieniądze, dużą rodzinę, włącznie z rodzicami mojego ojca, nagle babcia Bronisława odeszła. I już do końca jej życia każda Wigilia przypominała o tej wielkiej stracie.

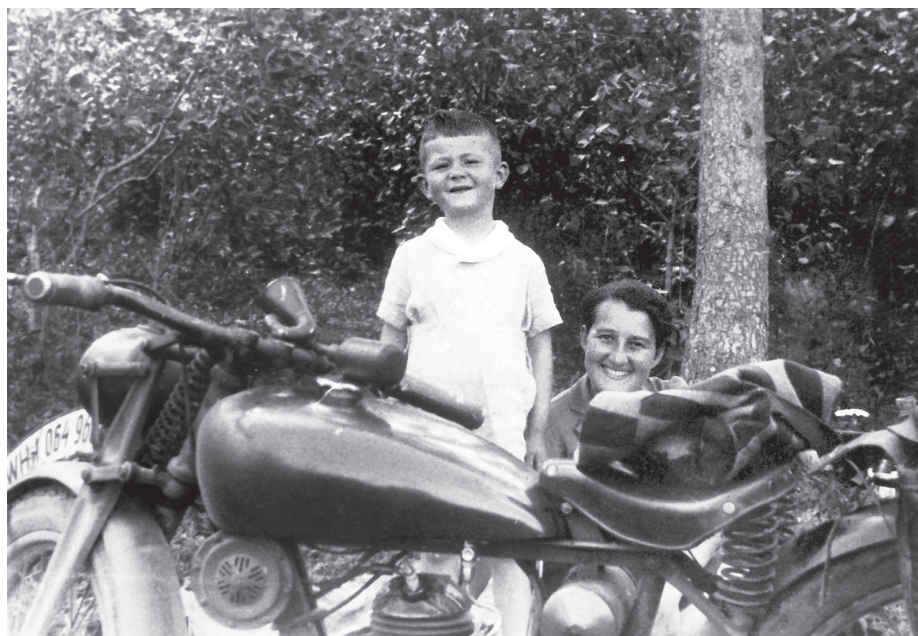


*Ja z rodzicami i Janem Kurnakowiczem
w Kolonii Wileńskiej w okresie drugiej wojny światowej*

Trzynastego kwietnia 1938 roku państwu Dąbrowskim urodził się syn Andrzej. Halina nadal występowała w wileńskim teatrze, a Tadeusz prowadził własne przedsiębiorstwo handlu drewnem. Tak było do wybuchu drugiej wojny światowej.

Niemiecka okupacja Wilna

W czasie wojny, podczas niemieckiej okupacji w latach 1941–1944, żaden polski teatr nie mógł w Wilnie działać. Istniały jedynie kabarety i rewiove teatryki. Występowali w nich między innymi Hanka Bielicka, Ludwik Sempoliński, Kazimierz Brusikiewicz. Wileńskie środowisko aktorskie było bardzo żyte ze sobą i wszyscy pomagali sobie w trudnych sytuacjach. Jeśli pojawiała się gdzieś możliwość zagrania na scenie lub szansa jakiejś innej, dorywczej pracy, to aktorzy zawsze zawiadamiali koleżanki i kolegów. Często aktorów zatrudniano jako kelnerów w restauracjach lub kawiarniach. Niektórzy znajdowali zajęcia w innych zawodach. Rodzina Dąbrowskich zaprzyjaźniła się z wieloma artystami, między innymi z Mieczysławem Foggiem. Najbliższym przyjacielem rodziny był wybitny aktor teatralny Jan Kurnakowicz, który po



Przy motocyklu

zamknięciu Teatru Polskiego w Wilnie pracował jako szatniarz w jednej z wileńskich restauracji. Mama Andrzeja grywała w teatrze tylko dorywczo. Ojciec z trudem znajdował zatrudnienie. Przez pewien czas był kelnerem w jednej z wileńskich kawiarni, do której stale przychodzili artyści, między innymi wspomniany Fogg oraz muzycy z Chóru Dana. Dowiadywali się tam o możliwości występów lub o innej pracy.

Mieszkaliśmy już wtedy w Kolonii Wileńskiej. Po poprzednich właścicielach gospodarstwa odziedziczyliśmy psa – wilczura Reksia. Tato codziennie dojeżdżał na motocyklu do pracy w Wilnie. Bywało, że motocykl zostawiał w domu. Zakradałem się wtedy do garażu i rozkręcałem w nim kluczami jakieś śrubki. Miałem trzy lata, więc nie wiem, jak mi się to udawało. Mama mówiła, że nieustannie naśladowałem warkot motoru, a zapach benzyny wprost uwielbiałem. Może zaczynała się moja fascynacja wszystkim, co ma silnik spalinowy? Pierwsza fotografia, którą zrobiono mi z motorem, pochodzi z 1943 roku – rozradowany stoję przy motocyklu ojca. Miałem wtedy pięć lat.

Aktorzy często przyjeżdżali do Kolonii Wileńskiej do Haliny i Tadeusza. Zawsze mieli tu dobre jedzenie. W ten sposób Dąbrowscy starali się pomóc bezrobotnym artystom.

Najczęściej w Kolonii Wileńskiej bywał u nas Jan Kurnakowicz. Mama mówiła, że gdy tylko wchodził do naszego domu, ja biegłem do niego, a on wyciągał ręce w moją stronę i podnosił mnie wysoko. Bawił się ze mną, kręcąc jakieś młynki, a potem cały czas nosił mnie na rękach. Chyba lubił dzieci.

Po przeniesieniu się do Kolonii Wileńskiej mama Andrzeja musiała poradzić sobie z prowadzeniem dużego domu i gospodarstwa. Było to dla artystki teatralnej duże wyzwanie, bo nigdy wcześniej nie mieszkała w małym miasteczku ani na wsi. Uczyła się z poradników rolniczych, jak sadzić i siać rośliny, słuchała rad sąsiadów. Mimo że zatrudniała kilkoro służących, sama pracowała fizycznie w domu i ogrodzie. Zdobyta wiedza i wrodzony talent szybko przyniosły efekty. W ogrodzie rosły wszystkie potrzebne warzywa i zioła, a zagroda należała do kur, kaczek i gęsi. Zaopatrzenie Wilna w żywność było słabe, ale rodzinie Dąbrowskich nie brakowało w zasadzie niczego.

Dla mnie, wówczas trzylatka, bieganie za uciekającym ptactwem domowym było świetną zabawą. Naśladowałem ich gdakanie, pieszczenie i wszystkie dźwięki wydawane przez inne zwierzęta. Mama, która miała doskonały słuch muzyczny, mówiła, że już wtedy idealnie podrabiałem głosy ptaków. Ta umiejętność została mi do dziś. Potrafię naśladować różne dźwięki i często się tym bawię.



Z rodzicami na krakowskiej ulicy

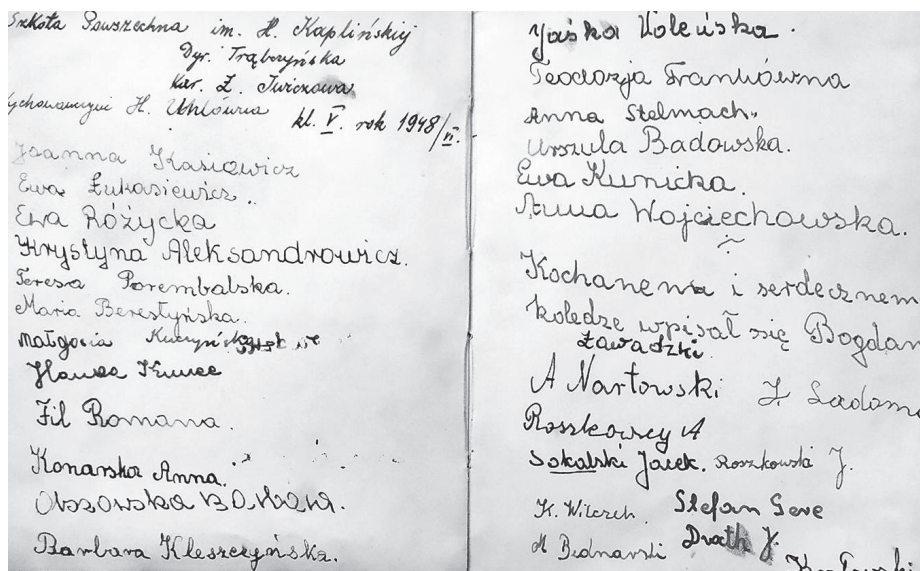
III

Lata szkolne – podstawówka
Urok krakowskiej ulicy św. Teresy
Dom w Krynicy Zdroju
„Mistrz świata” w boksie
Najmłodszy myśliwy w Polsce

Lata szkolne – podstawówka

Po ucieczce z Wilna do Szczawnicy, a następnie przeprowadzeniu się całej rodziny Dąbrowskich do Krakowa i zamieszkaniu przy ulicy św. Teresy, Andrzej rozpoczął naukę w prywatnej szkole im. Heleny Kaplińskiej, a następnie rodzice przenieśli go do państwowej szkoły podstawowej. Ówczesny system szkolny przewidywał siedem lat nauki w szkole podstawowej, a po jej ukończeniu uczeń dostawał świadectwo, które uprawniało go do nauki w liceum.

Zachowałem pamiętnik z wpisami kolegów z podstawówki. Do pamiętnika wpisał się Kornel Bosak Hauke-Ligowski. Nie mam z nim, niestety, żadnego kontaktu. Straciłem kontakt także z innymi kolegami. Ze szkoły podstawowej, tej państwowej na ulicy Szlak, zapamiętałem nauczyciela, który wyznaczał nam kary cielesne. Mnie także się taka przytrafiła, nawet parę razy. Nauczyciel miał cieniutki bambusowy patyczek. Jeśli coś było źle, to wołał ucznia do katedry. Mówił: „Pozwól, pozwól tutaj i wyciągnij łapkę”. Podawało się rękę, a on śmigał tym bambusem po dłoni. Trochę bolało, ale nikt nie śmiał protestować. Dziś taki profesor zostałby natychmiast wydalony ze szkoły. To chyba był nauczyciel matematyki, a ja nie byłem lotny z tego przedmiotu. Z fizyką i matematyką miałem zawsze problemy. Być może nie chciało mi się uczyć, ale raczej nie interesowały mnie te przedmioty. Prawdę mówiąc, w podstawówce nic mnie nie interesowało. Historia też mnie nie interesowała. Może tylko chemia i biologia.



Moja klasa w moim pamiętniku

Lubiłem profesora od chemii. Potrafił mnie zainteresować eksperymentami, które przeprowadzał na lekcji. Z chemii miałem zawsze bardzo dobre oceny. Chodziłem już do ostatniej klasy podstawówki, gdy nauczyciel pokazywał nam ciekawe doświadczenie, którego efektem był mały, ale widowiskowy wybuch. Bardzo nam się to podobało – mnie tak bardzo, że aż nie mogłem o tym eksperymencie zapomnieć. Któregoś dnia tata i mama wyszli z domu na zakupy, a ja postanowiłem skorzystać z okazji i zrobić taki eksperyment samodzielnie. Wydobyłem ze schowka składniki, które podkładałem przez tygodnie w szkolnym laboratorium. Wziąłem z biurka ojca jego ciężki przycisk do bibuły z dużą mosiężną kulą na górze i zacząłem rozgniatać mieszaninę siarki, chloranu potasu i fosforu. W pewnym momencie nastąpił wybuch. Od poddmuchu wyleciały szyby w oknie, a mnie odrzuciło w kąt pokoju. Zaczęła mi się palić skóra na twarzy. Resztki fosforu parzyły policzki. W oczach widziałem tylko ognisty blask. Po omacku dotarłem do kuchni. Odkręciłem kran zlewozmywaka. Okazało się, że akurat woda była w piwnicy zakręcona. Otworzyłem lodówkę, namacałem jakiś słoik i zacząłem polewać palącą się twarz. To było kwaśne mleko. Ktoś z sąsiadów zadzwonił po straż pożarną i pogotowie. Mój tato, który akurat robił zakupy w sklepie na ulicy Krowoderskiej, widząc, że jedzie na sygnale wóz strażacki, powiedział żartem do sprzedawcy: „Panie, niech się pan pośpieszy, bo mi się chałupa pali”. Gdy pod domem rodzice zobaczyli wozy strażackie, milicję i dym z okna swojego mieszkania, zamarli z przerażenia. Mnie zabrało pogo-

towie do szpitala. Zawinęli mi całą głowę bandażami nasączonymi jakimś liiowym płynem. Po kilku tygodniach przeniesiono mnie na okulistykę i tam z moich oczu lekarze i profesor Marian Mądroszkiewicz wyciągali odłamki, które pochodziły z metalowego pudełka po cygarach, w którym rozgniatałem swoją mieszankę. Groziła mi utrata wzroku. Milicjanci spisywali protokół i pytali mnie o jakąś bombę. Miałem szczęście, że nie urwało mi dłoni. Trudno opisać, co przeżywali rodzice. Okazało się jednak, że chyba stał się cud, bo nie straciłem wzroku. Przeszedłem jeszcze kilka operacji, gdyż lekarze musieli wyciągać kolejne opiłki z oczu.

Jedyną korzyścią z tego idiotycznego eksperymentu było to, że w tak zwanym wieku poborowym lekarz na prośbę rodziców wystawił zaświadczenie, potwierdzone paroma pieczętkami, że Andrzej Dąbrowski w 1953 roku miał wypadek, w którego następstwie ujawniło się teraz uszkodzenie prawego oka, ze znaczącym obniżeniem bystrości wzroku i widzenia, toteż nie nadaje się on do służby wojskowej. I faktycznie zostałem z niej zwolniony, ku mojej wielkiej radości otrzymując kategorię E.

Z tej szkoły pamiętam tylko kilku nauczycieli. Jeden z nich, profesor Spiechowicz, nauczyciel od historii, mieszkał – podobnie jak ja – na ulicy św. Teresy. Był świetnym pedagogiem, budzącym respekt wśród uczniów. Nauczyciel od fizyki, pan Sierko, miał nadaną przez nas ksywę „Żarów”, bo był łyśy. Uczył nas także nauczyciel Pawlik, a pamiętam go dlatego, że czasami na lekcjach dłubał w nosie – a my jak na komendę wybuchaliśmy całą klasą śmiechem. Naśmiewaliśmy się chyba ze wszystkich nauczycieli. Cieszyłem się bardzo, kiedy wreszcie skończyłem podstawówkę. Podobnie jak moi koledzy szkolni, nie miałem wielkich planów co do swojej przyszłości. Nie przypominam sobie, żebym wtedy miał jakieś ciekawe marzenia.

Urok krakowskiej ulicy św. Teresy

Ulica św. Teresy w Krakowie znajduje się między ulicami Łobzowską i Krowderską. Zaraz po wojnie ludzie łatwiej nawiązywali kontakty. Zнали sąsiadów z tej samej kamienicy, a także mieszkańców w sąsiednich budynkach. Zażyłość między sąsiadami była znacznie głębsza – odwiedzano się w domach, pomagano w trudnych sytuacjach. Tak było również na ulicy św. Teresy, przy której stało jedynie kilka budynków. Rodzina Dąbrowskich znała wszystkich mieszkańców i również ich znali wszyscy sąsiedzi. Tutaj mieszkało też kilka sławnych później osób. W sąsiednim domu zajmował lokal Kazimierz Wyka, profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego, historyk i krytyk literatury, a także poseł na sejm pierwszej kadencji w PRL.

Państwo Wykowie zajmowali lokal pod szesnastką na pierwszym piętrze. Moja rodzina mieszkała pod numerem dwunastym. Profesor Wyka miał dwie córki – jednej na imię było Marta, a imienia drugiej nie pamiętam. Czasem chodziłem do Marty. Była miłą dziewczyną. Pod dziesiątką na pierwszym piętrze swoje mieszkanie mieli państwo Kurczabowie. Pan Jan Kurczab także miał dwie córki: Alę i Krysię. Przez długi czas po sztubacku byłem zauroczony Alą. Któregoś dnia dowiedziałem się, że jest chora. Odwiedzałem ją i poświęcałem jej dużo czasu, żeby się nie nudziła. Siedziałem przy jej łóżku, chyba opowiadając jakieś zabawne historyjki. W późniejszych latach straciłem z nią kontakt. Podobno mieszka we Włoszech. Siostra Ali, Krysia – obecnie Krystyna Kurczab-Redlich – jest teraz znaną dziennikarką i pisarką.

Obok naszej kamienicy, również pod szesnastką, mieli mieszkanie bliscy przyjaciele rodziców – państwo Sędzimirowie. Na tej samej ulicy zajmowali lokal także nasi kuzyni – rodzina Paschmów z synem Maćkiem. Dość blisko mieszkały rodziny moich kolegów: Romana Dyląga, Wojciecha Karolaka i Magdy Bojanowskiej, która bardzo mi się podobała. Karolak mieszkał na ulicy 18 Stycznia 23.

Dąbrowscy zaprzyjaźnili się niemal ze wszystkimi rodzinami w sąsiedztwie. Byli lubiani i podziwiani. Halina występowała na scenach krakowskich teatrów, a Tadeusz, chociaż sporadycznie, także otrzymywał role teatralne. Wcielał się najczęściej w jakieś postacie z bajek i zadziwiał publiczność swoim talentem aktorskim. Wymyślił też i wprowadził zwyczaj „wymennych obiadów”. Do jednej z rodzin przychodziły w niedzielę na obiad dwie lub trzy inne, zaprzyjaźnione rodziny. W następną niedzielę obiad przygotowywała kolejna rodzina. W ten sposób sąsiedzi utrzymywali ze sobą stały kontakt.

Jedną z rodzin, u której bywaliśmy na obiadach, byli państwo Korneccy. Ich mieszkanie znajdowało się blisko parku Jordana. Było pięknie urządzone w eleganckim krakowskim stylu. Mieli oni córkę oraz syna. Z Andrzejem do dziś utrzymuję kontakt. Mieszka teraz na Florydzie. Szczerze mówiąc, nie przepadałem za takimi spotkaniami. Musiałem wtedy zakładać wizytowe ubranie, a najgorsze było to, że po prostu niemiłosiernie się nudziłem.

Dom w Krynicy Zdroju

Ojciec Andrzeja zaraz po przyjeździe do Krakowa złożył w urzędzie dokumenty potwierdzające, że rodzina Dąbrowskich pozostawiła w Wilnie nieruchomości. Jego prośba o odszkodowanie została załatwiona pozytywnie, jednak

odszkodowanie okazało się raczej symboliczne w porównaniu z wartością pozostawionego w Wilnie mienia. W ramach rekompensaty przydzielono im piętrowy dom na przedmieściach Krynicy Zdroju, skąd zaraz po wojnie przymusowo wysiedlono Łemków. W urzędzie nie poinformowano Dąbrowskich, że w przydzielonym im domu na parterze mieszka liczna, obca dla nich rodzina. Dąbrowscy nie mieli dla nich mieszkania zastępczego. Pogodzili się z tym, że ta rodzina nie wyprowadzi się z ich domu. Zajęli więc dla siebie wolne pomieszczenia na piętrze i do domu w Krynicy Zdroju jeździli wyłącznie na wakacje.

Przez wiele lat – może siedem, osiem – wyjeżdżaliśmy na wakacje i na zimowe ferie tylko do Krynicy. Jeździliśmy zawsze w to samo miejsce. Wakacje we własnym domu były dla moich rodziców dobrym rozwiązaniem, bo nie musieli płacić za wynajmowanie kwatery prywatnej. Ja także nie narzekałem. W Krynicy nie miałem czasu, żeby się nudzić.

Krynica leży w dolinie potoku Krynyczanka i jego dopływów, jest otoczona z trzech stron zalesionymi wzgórzami. W bukowych, jodłowych i świerkowych lasach rośnie dużo borówek, czarnych jagód, poziomek, malin, a także grzybów.

Moja mama uwielbiała las. Lubiła zbierać jagody, a nade wszystko grzyby. Często bywało, że budziła mnie o trzeciej w nocy, żebym poszedł z nią do lasu. Bardzo tego nie lubiłem, bo chyba żadne dziecko nie lubi wstawać tak wcześnie. Ale jak już byłem w lesie, to było fajnie. Zbieraliśmy grzyby, najczęściej borowiki. Wtedy było ich bardzo dużo. Zbieraliśmy też jagody, maliny, poziomki. Wszystkie piękne i duże. Po kilku latach znałem już wszystkie lasy w promieniu ośmiu kilometrów od naszego domu. Miałem własne sekretne miejsca, gdzie zawsze znajdowałem kolonie grzybów. W niektórych zagajnikach pokrytych mchem trudno było się domyślić, że tam mogą jakieś być. Ja jednak wiedziałem, że w mchu kryją się maleńkie prawdziwki, doskonałe do marynowania. Naciskałem mech i wydobywałem je do koszyka.

Zbieraliśmy tak dużo grzybów i jagód, że przetwory, które mama robiła w Krynicy, wystarczały nam na całą zimę. Były to dziesiątki słoików z marynowanymi grzybami, kompoty, dżemy i konfitury z różnych gatunków jagód, a także grzyby suszone.

Wyjeżdżaliśmy do Krynicy na całe lato. Po swoim urlopie tato wracał do Krakowa, a do nas wpadał na soboty i niedziele. W domu w Krynicy zawsze mieliśmy coś do zrobienia, do naprawienia. Najważniejszym jednak zadaniem było przygotowanie zapasu drewna na opał, żeby wystarczyło na zimowe ferie.

Tato nie pozwalał mi w Krynicy na zbyt wiele odpoczynku. Jednego razu pokazał mi, jak ustawiać pniak i na jakie części rąbać drewno siekierą.

Od tego czasu przygotowywanie opału na zimę było moim stałym obowiązkiem. Nie protestowałem, bo tato tłumaczył mi, że w ten sposób mam okazję do wyrabiania sobie mięśni w rękach i ramionach. Rąbałem więc drewno i nasłuchiwałem, czy nasz znajomy drogomistrz, opiekun dróg w całym powiecie, wyrusza motocyklem do pracy lub wraca nim do domu. Był on posiadaczem maszyny marki NSU o pojemności 250 cm³. Słysząc było, jak pięknie pracował silnik czterotaktu. Bardzo mi się podobał warkotu tego motoru.

Dom w Krynicy był obszerny. Parter domu zajmowali sublokatorzy, ale na piętrze znajdowało się kilka pokoi i rodzice Andrzeja mogli tam przyjmować gości. Zapraszali na wakacje koleżanki i kolegów swojego syna, a także ich rodziców. Jeśli dla gości zabrakło miejsca, to Halina i Tadeusz wynajmowali dla nich pokoje w okolicznych domach. Do Krynicy przyjeżdżali także kuzyni Dąbrowskich – Ludmiła i Junek Paschmowie z synem Maćkiem, kolegą Andrzeja. W dużej kuchni gotowały wszystkie mamy, każda była mistrzynią w innym daniu obiadowym i każda gotowała innego dnia.

Do dziś pamiętam genialne pierogi z jagodami, które robiła ciocia Ludmiła. Nigdy już nie jadłem lepszych.

Latem któregoś roku nad Krynica przeszła ogromna burza. Spadł grad wielkości piłek pingpongowych. Wybiegliśmy na zewnątrz i je zbieraliśmy. Mama wrzuciła kule do maszynki, żeby zrobić lody. Rodzice przywieźli tę maszynę z Wilna – była to mała drewniana beczułka, w której środku wmontowano urządzenie do robienia lodów. Maszynkę kręciło się korbką. To nudne zajęcie zawsze mi przypadało, ale nagroda była wspaniała – pyszne lody.

Rodzina Dąbrowskich nie była w stanie odzyskać parteru w krynickim domu. Ciągle mieszkała tam obca rodzina. Po ośmiu latach ojciec Andrzeja w końcu sprzedał ten dom. Dąbrowscy nadal jeździli do Krynicy na każde wakacje, ale już do wynajętych lokali w jakimś gospodarstwie albo w leśniczówce koło restauracji Cichy Kącik. Nadal umawiali się w Krynicy na wakacje z rodzicami kolegów Andrzeja.

Pewnego lata do wynajętego mieszkania w jednym z gospodarstw przyjechała pani Zosia Karolakowa z moim kolegą Wojtkiem. Przyjechali do Krynicy na cały miesiąc. To były niezapomniane wakacje. Wygłupialiśmy się obaj tak strasznie, że aż niebezpiecznie. Jeździliśmy na rowerach gdzieś po wertepach i po leśnych drogach. Popisywaliśmy się jazdą na jednym kole. W nocy czekaliśmy na gości, którzy wychodzili z Cichego Kącika, zwykle po mocno zakrapianej kolacji. Obaj z Wojtkiem owijaliśmy się w białe prześcieradła, wybiegaliśmy na drogę i strasziliśmy wychodzących z lokalu.



Przed domem w Krynicy Zdroju

Staliśmy na drodze tylko chwilę, żeby nas zobaczyli, a potem się chowaliśmy. Udawaliśmy duchy. Nie wiedzieliśmy już, co wymyślić i co zrobić, żeby jeden drugiego zadziwił. Po prostu rozsadzała nas energia.

Wymyśliłem dla siebie kolejną zabawę, a właściwie sprawdzian, taki rodzaj rywalizacji z samym sobą. Chodziło o pobicie rekordu jazdy na rowerze z zamkniętymi oczami. Trenowałem przez kilka kolejnych dni. Pokonywałem z zamkniętymi oczami coraz dłuższe odcinki. Aż wreszcie wyznaczyłem sobie trasę i dzień zawodów ze sobą. Miał to być zjazd z góry asfaltową drogą prowadzącą do Krynicy.

Ruszyłem. Oczy miałem zamknięte. Jadę w dół i głośno liczę: jeden, dwa, trzy... Gdy doliczyłem do czternastu, zacząłem czuć na kierownicy jakieś nierówności. Otworzyłem oczy i tuż przed sobą dostrzegłem stojący nad rowem podwójny słup drogowy. Nie miałem czasu na żaden manewr. W dużym pędzie rąbnąłem w słup. Najpierw była ciemność. Potem ujrzałem wszystkie gwiazdy. Przez długą chwilę leżałem w rowie. Kiedy oprzytomniałem, zobaczyłem pochyloną nade mną kobietę. W rękach trzymała bańki na mleko. Patrzyła na mnie i głośno się modliła. W ustach czułem smak krwi. Po chwili usiadłem. Rower leżał kilka metrów dalej. Miał przekreśloną kierownicę, uszkodzone koło. To chyba cud, że ten wypadek nie skończył się dla mnie tragicznie. Po raz drugi w swoim życiu mogłem, z własnej głupoty, stracić zdrowie, a nawet życie.

„Mistrz świata” w boksie

W szkole podstawowej nie miałem żadnych marzeń o jakimś wielkim wyczynie ani epokowym odkryciu. Któregoś dnia zobaczyłem, jak trenują bokserzy. I od tego momentu widziałem już jasno swoją przyszłość: chciałem zostać mistrzem świata w boksie. Chciałem więc ćwiczyć. Zamęczałem rodziców prośbami o zgodę na treningi. Ojciec był moim stronnikiem w tej sprawie, przekonał mamę, żeby wyraziła zgodę, i zapisał mnie do sekcji juniorów w bokserskim klubie OWKS w Krakowie. Przez kilka miesięcy regularnie uczęszczałem do klubu i waliłem pięściami w worki treningowe.

Wreszcie zacząłem swoją bokserską karierę. Widziałem już w mojej wyobraźni wiwatujące tłumy, gdy sędzia ogłasza moje zwycięstwa. Po paru miesiącach młócenia w worek mogłem wreszcie powalczyć w bezpośrednim starciu z kolegą.

Trener decydował o tym, czy młody chłopiec jest już przygotowany, żeby przejść do etapu sparingu. Wyznaczał dla niego przeciwnika. Zazwyczaj wokół walczących zbierali się wszyscy chłopcy, którzy trenowali z nim na sali. Spa-

ringowi przyglądali się także starsi bokserzy. Tak było i tym razem. Andrzej miał walczyć ze swoim kolegą z grupy.

Miałem wtedy trzynaście lat, a w tym wieku ambicje są znacznie silniejsze niż u osób dorosłych i chłopcy zawsze chcą popisać się przed kolegami i trenerem. To była moja pierwsza walka w ringu i tak zwany pierwszy krok bokszerski. Chciałem, żeby potyczka była zacięta. Tymczasem moje pięści w bokszerskich rękawicach młóciły głównie powietrze, choć czasem docierały także do głowy przeciwnika. Ale w pewnym momencie to jego prawy prosty dotarł do mojej szczęki. Usiadłem na ringu. Z nosa poląła się krew. Nie był to nokaut. Po prostu siedziałem na tyłku na środku ringu, a koledzy ryczeli ze śmiechu. Trener przerwał sparing. Po tej walce zdecydowałem, że kończę karierę bokszerską. Przyszedłem do domu i powiedziałem, że już więcej na trening nie pójdę. Mama śmiała się ze mnie, że po pierwszym mocnym ciosie odleciała mi miłość do boksu. Nie miała racji. Treningi faktycznie skończyłem, ale zainteresowanie boksem pozostało. Lubię ten sport, ciągle fascynują mnie walki na ringu. Dziś oglądam niemal wszystkie w telewizyjnych transmisjach, nawet o trzeciej nad ranem. W Krakowie często chodziłem z rodzicami na ligowe mecze. I to mama wtedy najgłośniej z nas krzyczała do zawodników: „bij go!”. To były piękne walki bokszerskie Jerzego Kuleja, Leszka Drogosza, Tadeusza Walaska czy Janusza Gortata. To były czasy, w których technika, uniki górowały nad siłą.

Mama czasami zarzucała mi, że zbyt łatwo rezygnuję, gdy coś mi się nie udaje. Twierdziła, że po pierwszej porażce zniechęcam się do dalszych działań. Może miała trochę racji. Przeciwności faktycznie powodują moje zniechęcenie, co nie oznacza, że jeśli mi na czymś lub na kimś naprawdę zależy, to nie potrafię długo i zawzięcie walczyć, aż wygram.

Najmłodszy myśliwy w Polsce

W dniu jedenastych urodzin Andrzej dostał dubeltówkę, tak zwaną dwudziestkę. Jego ojciec został myśliwym w bardzo młodym wieku. Myślistwo było rodzinną tradycją. Pradziadek Andrzeja był myśliwym, także dziadek i ojciec. Wszyscy mężczyźni w rodzinie Dąbrowskich byli w różny sposób z racji swoich zamiarów i zawodów związani z lasem. Tadeusz więc chciał, by i jego syn zainteresował się myślistwem i tak jak on pokochał las.

Znajomi myśliwi, którzy pracowali z ojcem Andrzeja w Krakowskiej Dyrekcji Lasów, w każdym tygodniu organizowali wyjazdy na tereny koła łowieckiego, oddalone jakieś sto pięćdziesiąt kilometrów od Krakowa. Jeździli zakładowym samochodem ciężarowym. Tadeusz zaczął zabierać na te polowania także syna.



Mój pierwszy szarak

Wyjeżdżałem razem z ojcem około trzeciej w nocy. Było mi zawsze zimno. Docieraliśmy na łąkę albo do lasu przed siódmą rano. Zaraz o ósmej rozpoczynało się polowanie. Spotykałem tam wielu myśliwych. Byli to przeważnie starsi ludzie, a może tylko mnie się wtedy wydawało, że oni są starzy. Ruszaliśmy w las. Byłem bardzo podekscytowany polowaniem, całą jego atmosferą. Chciałem koniecznie coś upolować, popisać się! Mierzyłem więc swoją dubeltówką do paru zajęcy, aż wreszcie nacisnąłem spust. Trafiłem! To był mój pierwszy ustrzelony szarak. Byłem niesamowicie podniecony swoim sukcesem. Potem myśliwi zebrali się przy ognisku. Ojciec pilnował, żeby odbyły się wszystkie tradycyjne ceremonie z okazji ustrzelenia mojej pierwszej zwierzyny. W ten sposób w wieku jedenastu lat zostałem najmłodszym myśliwym w Polsce. Fakt ten został odnotowany w „Łowcu Polskim”, a kiedyś nawet zamieszczono moje zdjęcie ze strzelbą jako najmłodszego myśliwego w Polsce.

Jesienią polowaliśmy na kuropatwy. Lubiłem jeździć z ojcem, a okazji do polowań nie brakowało.

Po przeniesieniu się do Warszawy zapisałem się do koła łowieckiego. Uczestniczyłem wtedy w kilkunastu polowaniach. Moje możliwości wyjazdów do lasu skończyły się jednak szybko. Była praca, koncerty, tygodniowe

Spis treści

Wstęp	5
I	7
Uciezka z Wilna Przystanek Szczawnica Dziadkowie Dąbrowscy Kraków – nasz nowy dom	
II	19
Dziadkowie Motyczyńscy Halusia Motyczyńska Wilno moich rodziców Niemiecka okupacja Wilna	
III	33
Lata szkolne – podstawówka Urok krakowskiej ulicy św. Teresy Dom w Krynicy Zdroju „Mistrz świata” w boksie Najmłodszy myśliwy w Polsce	
IV	45
Liceum i siła perkusji W rytmie jazzu Zmory sąsiadów z ulicy św. Teresy Szalone pomysły Andrzeja	
V	59
Motoryzacyjne fascynacje Pierwsze starty w rajdach Moskwiacz 403	
VI	73
Dlaczego jazz? Pierwsze wyjazdy na Zachód Wiedeński powiew luksusu Stan Getz i wspólna płyta Festiwal studencki we Francji	
VII	97
Reporter motoryzacyjny W weneckim Teatro La Fenice Dyplom magistra sztuki O Paryżu ciąg dalszy FRN oczami młodego muzyka zza żelaznej kurtyny Wymarzony magnetofon	
VIII	115
Wspomnienie krakowskiego rodzinnego domu	
IX	121
Festiwal w Jugosławii Granie zarobkowe Juan-les-Pins	
X	141
Niemieckie kluby jazzowe Mercedes 190 – pierwszy samochód za zarobione pieniądze Ponownie Bled i uroki Jugosławii	
SPIS TREŚCI	451

XI	155
Szara rzeczywistość Urzekająca Belgia Małgosia	
XII	165
Pierwsza podróż do Skandynawii Triumph spitfire	
XIII	175
Czarująca Szwajcaria Skandynawskie klimaty po raz drugi	
XIV	195
Nowiny radosne i smutne – z Norwegii i z Polski Wyścigi samochodowe po Bałtyku Szwedzkie życie i wieści z kraju Zostać? Wracam!	
XV	219
Trzy kwadranse jazzu Zielono mi – Opole '70 Przeprowadzka Życie artysty Z Estradą Poznańską i Zgaduj-zgadulą	
XVI	237
Do zakochania... – Opole '72 Atrakcje trasy po ZSRR Do zakochania... – Sopot '72 Koncertowe trasy od kulis	
XVII	251
Pierwsze koncerty w Stanach Uśmiech losu: wartburg 353 Niewczesna miłość – Opole '74 Mój pierwszy tekst Rozwód Współpraca z Violetą Villas Między koncertami a rajdami	
XVIII	267
Agnieszka Niemieckie interludium Decyzja zapadła Podróż sentymentalna do Wilna Ślub z Agnieszką Walka o wzrok	
XIX	279
Royal Viking Sea Równik i uroki Pacyfiku Od portu do portu	
XX	295
Nareszcie w domu Kierunek – Turcja Organizujemy wspólne życie Papa Poland i komuniści	
XXI	305
Egzotyczne wyzwanie – Indie W Polsce na kilka chwil Sto bat(h)ów za hondę Obserwacje portowe W kraju fiordów i lodowców	

XXII	323
Koncerty – rok 1980 Podbój Stanów Zjednoczonych W kraju i w Norwegii – rok 1981	
XXIII	335
Stan wojenny Nowe kontrakty Grecki menedżer Perypetie z żółtą ładą	
XXIV	349
Rejsy z Karolakiem – Morze Śródziemne i Karaiby Zmiany w domu	
XXV	359
Ptaszyn Motoryzacja po latynosku Wyprawa z łódką do Grecji Na karuzeli	
XXVI	369
Mój tato Własny kamper Rano rajd, wieczorem koncert? Karaoke w Tokio Côte d’Azur i Alpy	
XXVII	383
Maniak samochodowy Rajdowiec i dziennikarz Jedenaste tysięcy kilometrów Gaz do podłogi Kalatówki brzmiące jazzem	
XXVIII	407
Madzia Moja mama Ale świat trwa dalej Turcja po latach	
XXIX	419
Pożegnanie z perkusją <i>Szeptem</i> Muzyczne eksperymenty Fiesta ST Fotografie, wystawy, nagrody... <i>Mój los</i> <i>Bądź wierny sobie</i>	
Agnieszka o mężu	435
Andrzej Dąbrowski	437
Dyskografia Najpopularniejsze piosenki Nagrody muzyczne Sukcesy w sporcie samochodowym Dorobek dziennikarski Fotografie Najważniejsze odznaczenia i nagrody	
Indeks osób	442
Źródła fotografii	450

Perkusista i wokalista jazzowy, popularny piosenkarz, kierowca rajdowy, fotografik oraz dziennikarz. Swoimi zainteresowaniami i pasjami **Andrzej Dąbrowski** mógłby obdarzyć kilka osób, a każda z nich zyskałaby ciekawy i bogaty w osiągnięcia życiorys.

Najpierw pojawiła się fascynacja motoryzacją, chwilę później – jazzem i fotografią. Zupełnie niespodziewanie przyszedł pierwszy sukces, gdy w 1957 r. dziewiętnastoletni Andrzej, student wyższej szkoły muzycznej, zdobył wicemistrzostwo Polski w... rajdach samochodowych.

I szybko stał się jedną z ważnych postaci polskiego ruchu jazzowego.

Na scenie debiutował jako perkusista w trio Andrzeja Kurylewicza.

Potem przez ponad pół wieku grał i nagrywał m.in. z Wandą Warszawską, Wojciechem Karolakiem, Janem „Ptaszynem” Wróblewskim, Krzysztofem Komedą, Urszulą Dudziak, Michałem Urbaniakiem... Miał też okazję występować ze Stanem Getzem i Artem Farmerem, fotografować za kulisami Duke’a Ellingtona, a na scenie Sarah Vaughan czy Counta Basiego.

W latach 70. zastąpił jako piosenkarz, wykonawca superprzebojów.

Zielono mi – ze słowami Agnieszki Osieckiej – oraz Do zakochania jeden krok znał i nucił wtedy każdy. A były jeszcze: *Przygoda z Marią, A ty się, bracie, nie denerwuj, Zapomnij mnie* i wiele innych.

Żadnej spośród swoich pasji nigdy nie porzucił: nadal śpiewa, nagrywa jazz, fotografuje i startuje w wyścigach.

Opowieść o niezwykle bujnym życiu Andrzeja Dąbrowskiego, o jego licznych fascynacjach, o rodzinie i o muzykach, z którymi koncertował, a także o jego zaletach i wadach – **spisała** osoba najlepiej poinformowana, **Agnieszka Matynia-Dąbrowska**, dziennikarka radiowa i telewizyjna, żona bohatera książki.

Tekst uzupełnia ogromny wybór zdjęć pochodzących z archiwum rodzinnego i spośród artystycznych fotografii autorstwa samego Andrzeja Dąbrowskiego.

ISBN 978-83-07-03507-9



9 788307 035079

www.czytelnik.pl

RÓWNIEŻ JAKO
E-BOOK